

Zacznę od tego, że tytuł tej recenzji wcale nie jest przesadą, gdyż wieczorem 6 listopada 2018 roku zagrała w Narodowym Forum Muzyki Royal Concertgebouw Orchestra, uznawana przez wielu melomanów za najlepszą orkiestrę na świecie, a zatem stawiana ponad Berlińczykami, Wiedeńczykami, Londyńczykami czy Bostończykami. Muzycy RCO (pozwolę sobie posłużyć się skrótem, oprócz RCO będę pisał też „Królewska”) dowiedli, że są niejako wzorem orkiestry idealnej, zjawiskiem, do którego każdy zespół symfoniczny winien dążyć. Nigdy nie byłem w ich macierzystej sali w Amsterdamie, ale sądzę, że usłyszenie tego świetnego zespołu w akustyce Sali Głównej NFM było dodatkową atrakcją dla melomanów znających RCO z koncertów na żywo.



Royal Concertgebouw Orchestra / fot. Anne Dokter

Z Królewskimi przyjechał jeden z moich ulubionych dyrygentów, o którego toczę spory z niektórymi zaprzyjaźnionymi krytykami muzycznymi (inni cenią go podobnie jak ja). Gwiazdą wieczoru obok wielkich holenderskich filharmoników był Philippe Herreweghe, jeden z najważniejszych dyrygentów dla rozwoju wykonawstwa muzyki dawnej. Jego płyty z muzyką Bacha czy z muzyką renesansową są legendarne. Choćby Orlando di Lasso, którego muzyka pod dyktando Belga żarzy się niczym płonąca lawa. Albo kantata „Ich habe genug”, gdzie śmierć i nadzieja są tak blisko nas, jak nasze najbardziej intymne myśli. Po wielu sukcesach w muzyce dawnej, zaczął sięgać Herreweghe po dzieła Beethovena i po dzieła późniejsze. Szybko doszedł do Brahmsa, któremu zdaje się wciąż poświęcać wiele uwagi, zarówno dziełom znanym, jak i tym mniej popularnym, jak piękna chóralistyka tego romantycznego klasycysty. Obecnie Herreweghe znany jest również z nagrań Strawińskiego i innych klasyków XX wieku, nagrał też wiele płyt z zespołami orkiestrowymi grającymi na współczesnych instrumentach. Jednakże nad wszystkimi dyrygenckimi realizacjami Philippe'a Herreweghe unosi się ten sam duch będący emanacją głębokiego humanizmu tego artysty, oraz rozmiłowania do wnikania w głąb muzyki, wyszukiwania w niej głęboko skrytej tajemnicy.

Wyobraźnia muzyczna belgijskiego mistrza przypomina kunsztowny gobelin. Jest złożona ze splotów i wątków, plastyczna i zmysłowa, nadająca dźwiękom kształt. Herreweghe najczęściej bywa przeciwieństwem dyrygentów dynamicznych i mocno skupionych na wyrazistym jak błysk muzycznym geście. Dlatego ma też przeciwników, z którymi cierpliwie się kłóczę. Sądzę jednak, że wrocławski koncert z RCO przekonałby ich bardziej, niż moje najbardziej choćby wyszukane argumenty.

Koncert zaczął się od uwertury do opery Oberon Webera, ojca niemieckiej opery romantycznej. W tym dziesięciominutowym

dziele zagraли z RCO Uczestnicy Akademii Orkiestrowej NFM i wypadli świetnie, bowiem wtopili się niemal całkowicie w brzmienie swoich znakomitych kolegów. Resztę koncertu Królewscy grali już tylko w swoim, mistrzowskim gronie. Uwertura natomiast wypadła bardzo romantycznie i obrazowo. Herreweghe znakomicie wczuł się w klimat epoki uprawiającej kult młodości i poezji. Muzyka była lekka i elficka.

Po Weberze przyszedł czas na IV Koncert fortepianowy G-dur op. 58 Beethovena. To jeden z najwspanialszych koncertów fortepianowych wszechczasów, cudownie było go więc usłyszeć w genialnej interpretacji. Pianistą w tej części koncertu był Yefim Bronfman, pochodzący z ZSRR teraz zaś przynależny duchem i paszportem do USA i Izraela. Jest to jeden z najbardziej znanych obecnie mistrzów fortepianu – jego nagrania Bartoka i Prokofiewa zdobyły liczne nagrody i powszechne uznanie melomanów. Od dawna też Bronfman jest cenionym wykonawcą koncertów Beethovena. Ja jakiś czas temu straciłem go nieco z mojego melomańskiego radaru, ale pamiętam, że już wiele lat temu zaciekał mnie bardzo ciekawym, analitycznym brzmieniem, które miało wyrazisty, indywidualny charakter, o co czasem ciężko wśród współczesnych pianistów. Również jego technika już kilkanaście lat temu zrobiła na mnie wielkie wrażenia. Gdy teraz usłyszałem go w Czwartym Beethovena, natychmiast zorientowałem się, że cechy, za które go niegdyś ceniłem, pogłębiły się. Świetna technika stała się po prostu olśniewająca, zaś brzmienie stało się świetliste, ale bez pustki, bez zbędnych ilości „powietrza”. Bronfman grał zmysłowym, świetlistym tonem, trochę podobnym do Rubinsteinowskiego „złota”, ale innym, mniej ciepłym, bardziej jeszcze jasnym. Lecz bez metaliczności, która niestety zdarza się zbyt często wielu skądinąd dobrym pianistom. Beethovenowskie pasaże, arkady jego architektury wyszły, dzięki temu pianistycznemu surowcowi, nadzwyczaj dobrze. Jednocześnie Bronfman nie zagonił tempa pierwszej części, jak

robi i robiło wielu, z wielkim Serkinem na czele (niestety!). Tu IV Koncert otwarł się prawdziwą, jedyną w swoim rodzaju architekturą. Herreweghe wraz z RCO wpisał się w tę ideę doskonale, organicznie niemal. Jednocześnie mistrzostwo dyrygenta i orkiestry przejawiało się też w staranności i wrażliwości kształtowania kolorystyki i dynamiki akompaniamentu. Gdy było trzeba, smyczki i choćby rogi grały piano pianissimo, zachowując przy tym pełnię brzmienia i absolutną doskonałość. Tylko dwie, może trzy orkiestry na świecie stać na coś takiego obok RCO. Dzięki przestrzennej, architektonicznej i filozoficznej części pierwszej, część druga koncertu mogła przywołać dawne obrazy z nią związane między innymi przez legendarnego pianistę Edwina Fishera, który grywał Beethovena z samym Furtwänglerem. Oto Orfeusz schodzi do piekieł po swoją Eurydykę. Jego muzyka rozświecła mroki Tartaru. Heroizm łączy się z nadzieją, radość z obawą. Delikatne zawahanie narracji może być uchYLENIEM się spiżowych bram Plutona. Finał koncertu był pławieniem się w Beethovenowskich konstrukcjach, a nie rozruchem szybkiej lokomotywy, jak to czasem bywa. Na bis pianista zagrał Debussiego i świetnie wpasował się w nastrój pobeethovenowski.

Spokój i zaduma jeszcze mocniej wyraziły się tego wieczoru w muzyce Brahmsa. Usłyszeliśmy II Symfonię D-dur op. 73. Brahmsa zainspirował do niej pobyt w Alpach. Herreweghe i RCO wydobyli z tego dzieła całą jego obrazowość i pastoralność. Nie spieszyli się, nie tworzyli na siłę efektownych, gęstych i lśniących jak smoła kulminacji. Szukali razem istoty nastroju, zachwycali się barwami i detalami kładącymi się u stóp muzycznego wędrowca. Myślę, że Brahms byłby szczęśliwy słysząc takie zrozumienie dla własnej koncepcji u wykonawców żyjących tak długo po nim. Ja zaś, już abstrahując od samego Brahmsa, po raz pierwszy w życiu słyszałem na żywo taką blachę. Co za rogi! Jaka tuba! Trąbki, puzony... Czułem się, jakbym pierwszy raz doświadczał naprawdę dźwięku tych instrumentów. Czasem pod

nami wręcz wrzała miedziana i złocista rzeka tego brzmienia. To było po prostu niesamowite! Zaś Brahms był głęboki i mądry. Nie było tu ani grama efekciarstwa, tylko muzyka i tylko poezja. W części wolnej usłyszałem niemal elegię na cześć Schumanna, przyjaciela i duchowego mistrza Brahmsa. Często tego w ogóle nie słychać w innych wykonaniach. Brahms wspominając Schumanna nie nawiązał do jego symfonii, ale do bardziej intymnej pianistyki. Tak jakby przechadzał się po Alpach z jego cieniem i razem patrzyli w gwiazdy. To była piękna i historyczna chwila w NFM..

Mam też nadzieję, że Herreweghe stanie się kiedyś dyrektorem artystycznych RCO, bo współpraca układa im się świetnie, zaś obecni główni dyrygenci Królewskich są, moim zdaniem, mniej ciekawi.